

Eugenjusz Małaniuk

Hellada Stepowa

przełożył

Cz. Jastrzębiec - Kozłowski

Eugenjusz Małaniuk

Hellada Stepowa

Wybrał i z ukr. przełożył

Czesław Jastrzębiec - Kozłowski

Warszawa 1936

Biblioteka Zet

Utwory, zawarte w niniejszym tomiku,
wybrał tłumacz z następujących zbiorów
E. Małaniuka:

Stylet i Stylos	1925
Herbarij	1926
Zemla i Zalizo	1930
Zemna Madonna	1935

*Dzień trwa. Wysoko są jeszcze błękity.
Wieczór nierychło nastanie, jedyna.
Mocny mój uścisk, żartki i niesyty:
i przyjdzie chwila, że zrodzisz mi syna.*

*Wiem: zdala burza hurkotać zaczyna,
czasy szkarłatu i żelaza zgrzyty.
Żołnierzem będzie. Stal go czeka sina,
w nocy — cwał konno, we dnie — znój obfity.*

*Pomnij, że piorun jeszcze spadnie z nieba,
że duch się jeszcze na ciszę nie godzi,
że wiotkie pióro złamać będzie trzeba,*

*by znowu tworzyć ów Rzym, co się rodzi.
I gdy ci wówczas wzrok napęlnią strachy,
nie powtórz bezrozumnej Andromachy.*

NOCE.

I.

Bóg mi ciebie nie ukrył, nie schował,
i dziś myśmy – dwoje. Nocą ślepa,
w niebie dymnem – poświetła ponsowa
opętańczych, wichurowych epok.

Życie – bladym płomykiem w pomroce;
wicher śmierci tchnie i – wszystko we ćmie.
Serce swe, niby paproć, jam wiedźmie
nie sam dał, jeno wzięła przemocą.

W czarne noce, sercem wilkołaka
muszę kochać potępione czary.
Tobie – cóż? Tylko śpiewać i płakać
i kołysać dziecinę burłaka...

W szybach – czerwień. Poranku? Pożaru?

II.

Rozkwitły sad i księżycowa mgiełka.
Majowa noc durząco śnić poczyna.
...W wilgotnych bzach gdy słowik się rozetka,
przystaje grzech – niewinny jak dziewczyna.

Nie. Trzykroć nie, o młody Fauście śniady,
i jasna ty Małgosiu taka czysta:
śród bzów i traw – owego płoną ślady,
kto wszystko wkrąg tu zaklął dziś: Mefista.

Pijane kwiaty dyszą ćmą i grzechem.
Swą mroczną żądzą wszystko trują noce.
Ciemności syczą przytłumionym śmiechem.
Cyt! *on* się zjawi wnet i zarechoce.

ODPOWIEDŹ.

...ten duchowy Quasimodo...
„Prolet. Prawda”

Ha, sprzeczać się nie będę: jam swego narodu
syn – odwiecznego ślepcą, kaleki-mazgaja,
i bodaj że istotnie obraz Quasimodo
z obrazów do mnie wszystkich najlepiej przystaje.

Niechże tak będzie: straszny, pokraczny i wielki,
jam wykochany w mroku, hodowany w piekle,
aby w ręku dzwonnika – luty i mścicielski
mój gniew nieprzejednany zanosił się wściekle.

Aby w czarnej godzinie gwałtów, męki, zniewag,
kiedy to cham się pastwi nad bezsiłą krasy –
wilkiem skoczyć, żelaza w ręce ponalewać
i krwią nieprzyjaciela pragnienie ugasić!

W strzelistej na wyżynie stoję ambrazurze,
a tam nadole – gawieź, starcy, najemnicy
i Chateaupers czerwony, nieświadomy burzy,
która mi pała w oczach, którą mam w prawicy.

A może nie Stepowa to Hellada,
lecz martwa wiedźma, setnikówna cudna,
która napawa serce czarnym jadem,
a o północy zmartwychwstaje złudnie.

...W bezbożnej cerkwi — sabat, wrzawa szafu.
Zakrzękał wieprz. Ktoś psim ujada pyskiem.
I martwa dusza w jej żyjące ciało
wstępuje znów. I — ona tu. Tak blisko.

Kołując, świszczce trumna. Swe stalowe
rozwiera już powieki Wij obleśny.
Nie słyhać kurów. Płonie w mętnej głowie
myśl jedna: że to wszystko się — nie! — nie śni.

Stepową Helladą chciałby poeta widzieć Ukrainę. Wij: potwór z fantast.
opowiadania Hohola pod tymże tytułem. Tam również — cudna córka setnika, zmie-
niająca się w upiara.

UKRAIŃSKIE OCZY.

Ukraińskie bizanckie źrenice –
ten nieszczerzy wzrok, o, jakże znam!
W senne ruchy robiono - dziewicze
jasyr wsączył swój pradawny kłam.

Ale owdzie była bujność, piękno,
urok wonny jak stepowy kwiat;
tutaj – ludu kalekiego piętno,
mać janczarów, co ją gwałci kat.

Ale owdzie, wydrapując ślepią,
jak wilczyca marła w walce; tu –
już każdemu chętna, kto zaczepia...
dzikie ciało, kochające knut.

Dzikiem ciało z martwą duszą – Boże! –
jakiż grzech okropny w jedno złał,
izby wieki, wieki przez bezdroże
Wijem nieść ślepego gniewu szaf.

Doba po dobie i po erze era.
Głaz. Bronz. Żelazo. Stal. I radja dźwięki.
Tylko ty, z rodu Scytów wszeteczna hetera,
swych ust podajesz sarmackie wisienki.

Tylko ty, ty, kolejnych przybłądów oskoma,
zdręzione ciało dajesz wszystkim na uciechę.
I kłusają, i cisną brudnymi rękoma,
i szloch twój przeplatają charkotem i śmiechem.

Na szlakach, co z Europy hen do Azji wiodą,
głową na Zachód, tonem Wschodu bliska,
rozpostarłaś się słodką i smagłą urodą,
na ziemskich ohyd srom i pośmiewiska.

Tobie kilimem — pawłoczna pszenica,
nad tobą — nieba atłasowe chusty:
a tyś — szalona, skrwawiona grzesznica!
W ślinie kochanków — tyś piękno rozpusty!

To nie był bój. Tam mięśnie siekł potężne
katowski nóż. A tyś — jęczała jeno.
Huczały dnie burzowe i orężne,
ognisty wicher Historję wwiął na scenę,
tętniła ziemia i wołała: »Prowadź!
Rozgorzej buntem, własne usyp kopce!«
A tyś się wątle dała ukrzyżować,
by ran posoką miedze znaczyć obce.

To nie był bój, lecz szamotanie babskie
pod tucznem cielskiem obmierzłego wroga.
W upiornym mroku swojej nocy rabskiej
modliłaś się, płakałaś ty do Boga.
Modliłaś się... a słodka chuć cię pali,
w otchłanie wabiąc parne i bezmocne.
...I mdli Polanie twoi zmarnowali
te sądne dnie, te noce wielkanocne — —

Ot tak. Pijaków zgiełk, szynk ciemny,
karczmarka, dur gorzałki srogi.
Tam, gdzie nie bywa już tajemnic,
tam, gdzie rozstajne życia drogi.

Tam wszystko proste jak miedziaki,
któremi płacisz czarkę trunku.
Dla wszystkich przyszłość tam jednaki
ma skarb martwoty i frasunku.

Żali się bęben, łkają skrzypce...
nie słychać, wódka - bo zagłusza.
W objęciach szału, w zmór rozsypce
dygota rozchełstana dusza.

Śliskie, lepiące się powietrze
łykają tu spieczona usta.
...Gorzałka wszystko zrówna, zetrze —
ciężka, okrutna, łatwa, pusta.

INTERMEZZO.

Stał się śnieg kwieciami wiśni i lśnień,
srebrną surmą rozśpiewał się styczeń.
Przez me życie w słoneczny ten dzień
pani przeszła, by zjawić się Beatrycze.

Ręk liljowy przewinął się kwiat,
czarne futro i czarne źrenice.
Dziś – rozdarci oddalą złych lat...
tylko śmiechem gdzieś grzmią nawałnice.

Stałaś w białym welonie, czarowna.
Świece woskiem płakały jarzącym.
Obok stanął poeta - wojownik,
niby rapier wysmukły i dźwięczny.

Nie ujrzałaś ty, tyś nie wyczuła,
bo nie własna wiosienność cię zdobi.
Tylko Bóg pod cerkiewną kopułą
widział, czyja to wiosna na tobie.

Tylko Bóg widział w dniu tym pamiętnym,
jaka mroczność ci duszę przeżarła.
Czemuż groźnem nie znaczył cię piętnem?
czemu krwią nie zachłysnął ci gardła?

I zawsze śni się: lipiec, ogród, krzaki
i pod sąsiedzkim spotkanie przełazem.

Lat wówczas tyle mieliśmy we dwoje,
ile ich dawno liczę sam. Jak tylko
rodzice spoczną sobie po obiedzie, —
bez tchu, na oślep mknę wśród grząd warzywnych,
śpiew kontraltowy usłyszeć »dobrydzień«,
ujrzeć i wchłonąć oczy jej i usta.

Szaleje serce. Czas się pod przełazem
zatrzymał. Słodkie pragnienie nas pali.
Drzelim — wpół-dzieci — nie wiedząc, co dalej.
Straszno nam było i słodko zarazem.

WSPOMNIENIE.

...Pachniało zawsze u babuni miętą
i macierzanką...

Stał szeroki kredens
z malowanymi pięknie talerzami,
czarkami z wielobarwnych szkielek, karafką,
której misternie ptaka kształt nadano
(czy też zwierzęcia może?... dziś pamiętam
jak poprzez gęstą mgłę), gdzie się trzymało
na uroczyste chwile – tajemniczy
jakowś trunek o tęgim zapachu.

Po prawej – łóżko, na niem kilim w kwiaty
i stos poduszek niby chińska wieża;
po lewej – tapczan dziadka, przy nim piec.
Tuż pod przypieckiem drzemał babcin stołek,
z którego ona kierowała piecem
tak, jak kapitan okrętem kieruje.

A w kącie święte wisały obrazy
bodajże zgoła już nie »prawosławne«:
Najświętsza Panna – w liljach, jak Madonna;
Pan Jezus z chusty Weroniki; nad Nim –
Bóg-Ojciec, snadź do Zeusa podobniejszy.

I w noc nawalną, kiedy straszne kary
spadały z nieb, modliłem się do Niego.

WIECZNE.

Oto Miasto niespełnionej myśli
próżnym zgiełkiem nuży moje dnie;
tylko wieczór w ciężkopyłnej Wiśle
hen na zachód wzrok mój znowu śle.

Starożytnem złotem wieków – brama
barokowa płonie tam by krew,
a poza nią historyczny dramat
hucznym wznosi płomieniem swój zew.

Na spiżowych koniach huf rycerzy
tnie spisami sine chmary hord,
z głębi zaś lawiną światła bieży
mrowie nowych wojsk niosących mord.

Harcownicy miecze skrzyżowali.
Krew i złoto kipi. Szczęk i grzmot.
I w żelazne serce młotem wali
jamb miedziany niezwalczonych strof.

Ta rytmiczność wściekła i zazarta
kruszy oto bryły martwych mas.
Ponadę mną wieczność – już rozwarta –
ukazuje wyzwolenia czas.

A na wschodzie – złały się zakręty
w ten znajomy, ten jedyne wiek:
widzę zamek chmurny i przekłęty,
słyszę smoka śmiercionośny skrzek.

Tam hen-hen, w okienku smukłej wieży,
ostrzy pływok świeci nocą wdal:
to księżniczka, czekając rycerza,
łzami dzierga żal.

WIZJA.

Co bądź miało stać się, już się stało:
trzeźwy dzień i praca w pocie czoła.
Czyż usłyszę, jak powszedni hałas
przetnie nagle surma Archanioła?

Wyż zimowa rozewrze się bława,
w krwawą czerwień niebo się oblecze
i milczenie wielkie — niby sława —
serca ludzkie weźmie na swe miecze.

Samolotów spadek zaszeleści,
drgnie i runie mocny wał forteczny.
Białem słońcem wszędzie z za przedmieści —
ode Wschodu gdzieś — Sąd Ostateczny,

który zimnym burzy tchem pobieży
i ruiny jak śmiecie rozmiota.
Matka Boska ani święty Jerzy
nie ocalą ludzkiego żywota.

Dusza beze ścian i bez odzienia
stanie naga przed karą Prawicy.
Tylko wicher w Księdze Przeznaczenia
będzie wieków przerzucał stronnice.

